

JAN DZIEWULSKI

**O SZANSACH NA SPOŁECZNĄ GOSPODARKE RYNKOWĄ
W POSOCJALISTYCZNEJ POLSCE**

1. Każda gospodarka i każde państwo ogólnie biorąc służą społeczeństwu. Służą jednak różnym grupom społecznym w różnym stopniu. Którym z nich w jakim stopniu – zależy to od względnej siły ekonomicznej grupy, jej stopnia zorganizowania, udziału we władzy politycznej itd. Władza zapewnia korzyści ekonomiczne. Państwa, w których te korzyści rozłożone są bardzo nierówno, w których znaczna część ludności nie ma udziału w efektach rozwoju gospodarczego, uważane są dość powszechnie za niesprawiedliwe.

Panujący dziś w świecie ustrój kapitalistyczny – do którego Polska po upadku realnego socjalizmu powróciła – od zawsze charakteryzował się bardzo dużym zróżnicowaniem społeczno-ekonomicznym. W istniejących dzisiaj państwach kapitalistycznych stopień tego zróżnicowania jest jednak różny. Stosunkowo większy jest on w państwach gospodarczego liberalizmu; mniejszy jest tam, gdzie państwo interweniuje w gospodarkę i wspomaga grupy najsłabsze ekonomicznie, czyli w tzw. państwach opiekuńczych, a także w państwach „społecznej gospodarki rynkowej”.

Kapitalizm w Polsce odbudowywany jest na zasadach liberalizmu gospodarczego, a ściślej – neoliberalizmu, czyli liberalnej ortodoksji. Nierówności społeczno-ekonomiczne są już bardzo znaczne i powiększają się, istniejące zabezpieczenia dla słabych grup są ograniczane i likwidowane.

Wydaje się, że głównym problemem naszej konferencji jest kwestia, czy i jak można by rozwojowi naszego państwa i gospodarki nadać kierunek prospołeczny, nie od, a ku modelowi, nie państwa opiekuńczego wprawdzie (kraj jest niebogaty), ale społecznej gospodarki rynkowej i rzeczywistej demokracji.

2. Czy nie jest to jednak tylko utopijne i w gruncie rzeczy reakcyjne marzenie? Odpowiedź na to zasadnicze pytanie wymaga sięgnięcia do historii systemu kapitalistycznego i doktryn, jakie w tej historii odegrały istotną rolę. Chodzi przy tym o stwierdzenie, czy prospołeczny model nie obniża tempa wzrostu gospodarki i dobrobytu ludności.

W manufakturowym stadium kapitalizmu panującej doktrynie ingerencji państwa w gospodarkę (w imię wzrostu produkcji, eksportu i dochodów królewskich) przeciwstawiona została nowa, postępową idea wolności gospodarczej i swobody działania rynku (krajowego, zagranicznego). W okresie Adama Smitha obie koncepcje rywalizowały ze sobą. „Bogactwo Narodów” przechyliło szalę na korzyść wolnorynkowej.

Smithowski liberalizm ekonomiczny był *optymistyczny*. Rynek nie tylko dostosowywał produkcję do potrzeb społecznych, ale zapewniał też niski koszt robocizny; zysk z pracy cudzej umożliwiał (a rynek wymuszał) akumulację kapitału, toteż wzrastało zatrudnienie i fundusz płac. Rosła produkcja, wzrastało bogactwo całego narodu, choć różnych jego warstw w różnym stopniu oczywiście.

Smith nie dostrzegał żadnych poważnych zagrożeń, żadnych granic dla tego procesu. Dość szybko jednak wystąpiły niekorzystne zjawiska. Zastosowanie maszyn spowodowało nie tylko wielki wzrost produkcji, ale i powstanie bezrobocia; bezrobocie i niskie płace ograniczały popyt, pojawiły się kryzysy nadprodukcji; wraz z szybkim wzrostem bogactwa klas posiadających rozszerzał się obszar biedy; drastyczne i rosnące nierówności społeczne wywoływały protesty o rosnącej sile.

W tej sytuacji liberalizm optymistyczny Smitha stawał się nie do utrzymania. Malthus i Ricardo zrezygnowali z tezy o bezgranicznym wzroście produkcji i bogactwa całego narodu. Winą za bezrobocie i rosnący obszar nędzy, a także groźbę stagnacji gospodarczej, obciążyli oni prawa przyrodnicze: ludnościowe i działające w rolnictwie. Nie można było tego zmienić. Liberalizm tych klasyków ekonomii był *pesymistyczny*.

Ekonomiści „drobnomieszczańscy” oraz socjaliści dowodzili tymczasem, że prawdziwym winowajcą jest kapitalistyczny system wyzysku. Ostatni klasyk angielskiej ekonomii J.St. Mill uelastycznił żelazne rzekomo prawa natury uniewinniając je tym samym w znacznej mierze; podział dochodu uznał za historyczną zmienną zależną od sił partnerów społecznych i dostrzegł w perspektywie nie tylko wzrost w dochodzie udziału ludzi pracy, ale i stopniowe ograniczenie zakresu własności prywatnej na rzecz społecznej. Liberalizm *socjalny* Milla nie okazał się jednak ostatnim słowem doktryny.

Po latach 70. XX wieku w części krajów (zwłaszcza silnych ekonomicznie, w Europie w Anglii i Holandii przede wszystkim) panował w teorii i praktyce liberalizm ekonomiczny, w części jednak krajów (jak np. w Rosji) nasilił się protekcjonizm

celny, pojawiła się (Niemcy bismarckowskie) państwowa regulacja kwestii robotniczej. Monopolistyczne przemiany w ekonomice i imperializm w polityce międzynarodowej oddalały system kapitalistyczny od abstrakcyjnej konstrukcji, którą tymczasem zbudowali sobie liberalni ekonomiści: modelu doskonałej konkurencji.

W odróżnieniu od rzeczywistości w modelu tym wszystko działało się dokładnie tak jak „powinno”. Rynek „ustawiał” gospodarkę w optimum; elastyczność rynku pracy (płac) zapewniała ekonomicznie uzasadnione zatrudnienie; bezrobocie było tylko dobrowolne; elastyczność cen towarów doskonale dopasowywała strukturę produkcji i popytu; elastyczność ceny kredytu (procentu) zapewniała zgodność sumy oszczędności i inwestycji. Kryzysów nie było. Państwo w gospodarkę nie wkraczało, gwarantowało natomiast takie konieczne dla jej doskonałego działania przesłanki, jak powszechne panowanie i bezpieczeństwo własności prywatnej, wolną konkurencję, przestrzeganie prawa, rozwój infrastruktury i obronę interesów międzynarodowych kapitału krajowego: było to „państwo minimum”, utrzymujące się z maksymalnie niskich podatków.

Ta abstrakcyjna konstrukcja stała się podstawową ideą liberalizmu *ortodoksyjnego*. Przyczynę wszelkiego zła w realnej gospodarce ekonomiści tego kierunku widzieli zawsze w odchyleniach od modelu i proponowali odpowiednie działania: eliminację wszelkiej nieprywatnej własności, likwidację elementów monopolu, ograniczenie praw pracowniczych, związkowych, redukcję socjalnych zwłaszcza wydatków państwa oraz podatków itd.

W historycznych realiach przełomu XIX i XX wieku idealne „państwo minimum” zmieniło się tymczasem w swoiste „państwo maksimum” – gdy najpotężniejsze narodowe grupy wielkiego kapitału zdecydowały się na realizację swoich interesów drogą wojny. W czasie wojennych przygotowań i samej wojny liberalni ekonomiści wyciszyli się; potem uznali wojnę za fatalne nieporozumienie wynikłe z niezdrowych ambicji polityków, jej okres „wzięli w nawias” i podjęli swe badania w punkcie, w którym wojna je przerwała.

Jednakże ani liberalna doktryna, ani polityka nie mogły cofnąć historii. Wojna zaostriżyła bowiem sprzeczności społeczne w tym stopniu, że w szeregu krajów doszło do rewolucji, z których rosyjskiej nie udało się spacyfikować. W latach 20. powstał system społeczno-ekonomiczny, który mimo ogromnych kosztów budowy i niskiej efektywności mikroekonomicznej wykazał możliwość funkcjonowania i szybkiego wzrostu niekapitalistycznej gospodarki planowej.

Po wojnie kraje kapitalistyczne odbudowywały swe gospodarki na zasadach liberalnych. Skończyło się to jednak największym w historii kryzysem ekonomicznym. Ekonomiści zrozumieli wreszcie, że system kapitalistyczny regulowany mechanizmem rynkowym nie tylko nie zapewnia dobrobytu dla wszystkich, lecz rodzi nieuchronnie wielkie napięcia społeczne i rewolucje polityczne wskutek masowego bezrobocia, biedy, koniunkturalnych wahań i kryzysów. Uznano konieczność ingerencji państwa w gospodarkę – początkowo antycyklicznej przede wszystkim, potem także pro wzrostowej. Pojawiła się wreszcie idea *państwa opiekuńczego*, ingerującego w podział dochodu i chroniącego najsłabsze grupy obywateli przed zepchnięciem w strefę biedy i wykluczenia. „Okazało się, zwłaszcza w państwach skandynawskich, że państwo opiekuńcze dobrze funkcjonuje i nie przeszkadza w rozwoju gospodarczym” (Z. Sadowski, odczyt w PTE 29.01.2008).

Obok koncepcji państwa opiekuńczego, w Niemczech jeszcze przed II wojną światową pojawiła się też inna koncepcja syntezy wolnego rynku i działalności państwa: *społecznej gospodarki rynkowej*. W. Eucken, twórca „Ordoliberalizmu”, zamiast korygowania *ex post* niekorzystnych społecznie efektów rynku, przewidywał działanie *ex ante* mające do takich efektów nie dopuścić. Państwo miało tworzyć odpowiednie zabezpieczenia instytucjonalne: regulować rynek pracy zabezpieczając prawa pracownicze, systemem podatkowym nie dopuszczać do nadmiernych nierówności społecznych itd. Chodziło o to, by wzrost gospodarczy był owocny dla całego społeczeństwa.

Praktyczna realizacja koncepcji SGR nastąpiła jednak dopiero po wojnie. Zarówno w Niemczech, jak i we Francji wyniki były dobre, co spowodowało rozpowszechnienie się idei i rozwiązań typu SGR. Konieczność państwowej korekty działań rynku została też w końcu uznana przez wielu liberałów, co znalazło wyraz w „Manifeście nowoczesnego liberalizmu” (Rzym 1981). Wolność, tolerancja – głosił on – nie dadzą się realizować w społeczeństwie, gdzie jest wielkie bezrobocie, są wielkie obszary nędzy, nie ma szerokiego dostępu obywateli do świadczeń zdrowotnych, oświaty itd.; ale jeśli tak, to ideały liberalizmu wymagają aktywnej roli państwa, bo rynek tego nie zapewni.

W wyniku kryzysu naftowego lat 70. i związanych z nim zjawisk inflacyjnych, oraz olbrzymiej propagandy mediów związanych z potężnymi grupami kapitałowymi, nastąpił jednak zwrot ku starej ekonomii klasycznej. Celem rozwoju miał być wzrost i

efektywność ekonomiczna, a generowane przez rynek rozpiętości społeczne miały być wyrównywane automatycznie, bez udziału państwa.

Neoliberalizm, czyli fundamentalizm rynkowy, nawracał do wczesnego pojmowania roli rynku. Wszystkie negatywne jego skutki sprowadzał do „koniecznych kosztów optymalizacji”. Nie było potrzeby działania państwa, nie było miejsca na działania prospołeczne. Całe życie społeczne należało skomercjalizować.

Najpierw w USA – gdzie wystąpił on w powiązaniu z friedmanowskim monetaryzmem – a potem szeroko w świecie uwierzono, że jest to jedynie słuszna interpretacja ekonomii, naturalny konieczny porządek rzeczy – podczas gdy „tezy neoliberalizmu nie miały żadnego teoretycznego ani praktycznego uzasadnienia, były czystą ideologią” (Z. Sadowski – tamże).

Neoliberalna propaganda głosiła – kłamliwie – kryzys państwa opiekuńczego w krajach nordyckich. W wyniku zwycięstwa tej doktryny oraz rosnącego globalizmu i konkurencji amerykańskiej zaczęła się też cofać SGR w głównych państwach europejskich. Wobec upadku systemu realnego socjalizmu – z którym wielki kapitał musiał się przedtem liczyć w swych stosunkach także z własnym światem pracy – mogła się rozpocząć generalna ofensywa przeciw niemu. Kapitał najwyraźniej doszedł do wniosku, że ma dosyć sił aby cofnąć sytuację społeczną do początków XIX wieku.

Realizacja marzenia o cywilizowanym, godnym, sprawiedliwym społeczeństwie w ramach systemu kapitalistycznego stała się mało realna. Neoliberalne zasady dzisiejszego turbokapitalizmu muszą przynieść te skutki, które przewidział N. Kalder jeszcze w 1980 r.: pogłębienie napięć społecznych i brak stabilności, będący rezultatem powiększających się nierówności i rosnącego bezrobocia.

Interwencjonizm państwowy, państwo opiekuńcze, SGR pojawiły się aby umożliwić dalsze istnienie i prosperowanie kapitalizmu – i zapewniły mu coś w rodzaju złotego wieku. Dziś rozwój w tym kierunku został zahamowany i cofnięty w interesie największych grup kapitału i najpotężniejszych państw kapitalistycznych i nie wiadomo, czy w nowych warunkach – i po jakich klęskach – możliwy będzie i nastąpi ponowny zwrot.

Właśnie w okresie triumfu ideologii neoliberalnej i pod jej przemożnym wpływem dokonana się w Polsce, jak i innych krajach posocjalistycznych, transformacja systemowa – całkowicie doktrynerska, eliminująca wszelką troskę społeczną. Czy mogło być inaczej?

3. W punkcie wyjścia – wiosną 1989 roku – wydawała się istnieć wielka szansa na budowę w Polsce SGR i szerokiej realnej demokracji. „Solidarność” była wszak masowym ruchem robotniczym i pracowniczym. Nie żądała prywatyzacji państwowych zakładów pracy, lecz „upodmiotowienia” załóg, społeczności lokalnych i obywateli kraju w celu polepszenia działania gospodarki, poprawy sytuacji materialnej i poszerzenia demokracji. Te idee dominowały w porozumieniach gdańskich, ustawie z 1981 roku o samorządzie pracowniczym i przyjętym na I Zjeździe „Solidarności” „Programie Samorządnej Rzeczypospolitej”.

W porozumieniach okrągłostołowych przewidziano rozwój wszystkich typów przedsiębiorstw; państwowe miały zostać skomercjalizowane, sektory równouprawnione, a ich konkurencja miała zapewnić wzrost efektywności i wykreować najkorzystniejszy model gospodarki rynkowej. Program rządu Rakowskiego na lata 1989-1992 – pt. Nowy Ład Gospodarczy – też nie przewidywał transformacji gospodarki socjalistycznej w kapitalistyczną, a został pozytywnie oceniony przez MFW i BŚ, czyli Waszyngton; dopuszczał on wprowadzić prywatyzację przedsiębiorstw państwowych, zakładał jednak dalszą dominację sektora państwowego, szeroki zakres interwencji państwa itd.

Zasadnicza zmiana nastąpiła po wyborach czerwcowych – do których „Solidarność” poszła pod hasłem Samorządnej Rzeczypospolitej właśnie i je faktycznie wygrała. Gdy Michnik rzucił hasło „wasz prezydent, nasz premier” a ZSL i SD zmieniły dawnego na nowego sojusznika, władza wymknęła się z rąk PZPR.

Jeszcze przed powstaniem pierwszego rządu solidarnościowego (T. Mazowieckiego), w lipcu 89 roku, zwołane zostało przez szefa biura zagranicznego „Solidarności” J. Milewskiego w Brukseli, przez które płynęły pieniądze i technika dla krajowej opozycji (od i poprzez G. Sorosza zwłaszcza) spotkanie w celu przygotowania nowego programu gospodarczego dla Polski. Zaproszona została grupa krajowych działaczy „Solidarności” oraz działacze i eksperci zagraniczni. Przewodniczący spotkaniu brukselskiemu W. Trzeciakowski – sygnatariusz ekonomicznej części umowy okrągłostołowej – przedstawił swój program, ale nie został on przyjęty. Naradę zdominowała grupa zdecydowana odrzucić dawny program „Solidarności” (samorządowy) i ustalenia Okrągłego Stołu (gospodarka mieszana), zlikwidować sektor państwowy i odbudować w Polsce system kapitalistyczny. Grupie tej przewodzili zagraniczni ekonomiści neoliberalni (J. Sachs

z Harvardu, J. Rostowski z Londynu), uczestniczyli w niej m.in. J.K. Bielecki, J. Merkel, A. Milczanowski, Z. Najder, T. Stankiewicz, J. Thieme; wkrótce nimi właśnie obsadzone zostały ważne pozycje polityczne i gospodarcze w kraju.

„Na naradzie chodziło głównie o odejście od umów okrągłostołowych” – stwierdził potem J. Rostowski (dziś minister finansów w rządzie D. Tuska), „panowała ogólna zgoda co do tego, że z tych ustaleń trzeba zrezygnować, gdyż są anachroniczne i wcześniej czy później będą blokować rozwój gospodarczy” (zob. wywiad z J. Rostowskim w Życiu Gospodarczym, nr 26 z 26.06.94).

W Brukseli zaaprobowano koncepcję „wielkiego wstrząsu” (nazwanego później przez Balcerowicza „terapią szokową”) – maksymalnie szybkiego rozbicia i zniszczenia, z wykorzystaniem całej siły państwa, przedsiębiorstw państwowych, oraz promowania i wytwarzania „nowej klasy średniej” – czyli klasy kapitalistycznej – która będzie zdolna przejąć gospodarkę. Koszty tego – a liczone się z powstaniem do 25% bezrobocia i głębokim spadkiem dochodów grup pracowniczych – nie miały istotnego znaczenia wobec wielkości zadania.

Spółeczeństwo spodziewało się raczej czegoś odwrotnego: stabilizacji gospodarczej, wzrostu dochodów; nie widziało też potrzeby prywatyzacji majątku produkcyjnego (jeszcze we wrześniu 1989 roku w ankiecie CBOSu 22% badanych było za reformą systemu socjalistycznego, 39% za nowym modelem socjalizmu, a tylko 22% za rezygnacją z tego systemu). Uczestnicy narady brukselskiej doszli w związku z tym do wniosku, że należy działać przez zaskoczenie i postawić społeczeństwo przed faktami dokonanymi, a o kapitalistycznym celu przemian zbyt szybko nie informować.

Narada brukselska, jej przebieg zostały utajnione.

W taki oto sposób *mała grupa ludzi arbitralnie dobranych, całkowicie poza świadomością społeczeństwa polskiego, a choćby masy członków „Solidarności”, zdecydowała o tym, jaka będzie nowa Polska.*

4. Co oznaczała budowa kapitalizmu zamiast wielosektorowej (mieszanej) gospodarki rynkowej?

- ✓ Kraje posocjalistyczne z szeregu przyczyn były co najwyżej średnio rozwinięte gospodarczo. Poza NRD, na dopływ znacznych środków z zewnątrz na przyspieszenie rozwoju nie mogły realnie liczyć, stąd dochód i majątek narodowy nie mogły tu szybko wzrosnąć; co więcej, w procesie radykalnych

przemian ekonomicznych musiały się poważnie zmniejszyć. Budowa kapitalizmu oznaczała, że obniżony dochód narodowy dzielony będzie w nowy sposób, tak aby pewna część ludności szybko się wzbogaciła, zgromadziła kapitał. Mogło to jednak nastąpić tylko kosztem reszty społeczeństwa. Poziom dochodów świata pracy nie mógł się zatem podnieść, musiał poważnie zmaleć.

- ✓ Budowa kapitalizmu oznaczała dalej prywatyzację stworzonego pracą całego społeczeństwa majątku, nagromadzonego w rękach państwa. Prywatyzację nie „pracowniczą”, lecz kapitalistyczną, czyli przekazanie większości tego majątku stosunkowo wąskiej grupie. Reszta społeczeństwa formalnie nic by na tym nie straciła, jako że majątek państwowy był jakoby „niczyj”; dostałaby nawet jakieś ochłapy na odczepne. Faktycznie musiało to jednak oznaczać gwałtowne skurczenie się materialnej podstawy – gwarantowanych poprzednio przez państwo ogółowi ludności – uprawnień i zabezpieczeń, likwidację jednych (np. prawa do pracy), drastyczną redukcję innych (np. opieki zdrowotnej, uprawnień emerytalnych, szans na mieszkanie).
- ✓ Trudno jest prywatyzować dobrze działające przedsiębiorstwa państwowe. Wartość ich majątku jest za wysoka jak na możliwości wykupu przez powstający dopiero kapitał prywatny i szukający wysokiego zysku kapitał zagraniczny, a opór załóg jest silny. Szybkie przekazanie wielkiego społecznego majątku, produkcyjnego i nieprodukcyjnego, w ręce biznesu – czyli mówiąc po prostu ograbianie pracowniczej większości społeczeństwa – nie jest możliwe bez doprowadzenia sektora państwowego do finansowego bankructwa. Oznacza to jednak głęboki spadek produkcji i usług, a więc poziomu życiowego pracowniczej części ludności, oraz masowe długotrwałe bezrobocie w miastach i na wsi.
- ✓ Budowa kapitalizmu w kraju posocjalistycznym nie mogła się powieść bez osłony i pewnego zakresu pomocy ekonomicznej (kredytów zwłaszcza) międzynarodowych organizacji wielkiego kapitału (MFW, Banku Światowego) oraz czołowych państw kapitalistycznych (np. oddłużenie). Oznaczało to jednak daleko idące podporządkowanie się ich koncepcjom i interesom. Wątpliwe by interesy te polegały na modernizacji i rozbudowie przemysłu w krajach transformacji – musiało chodzić raczej o przekształcenie tych krajów w rynek zbytu dla własnych towarów, likwidację konkurujących branż i przejęcie najlepszych przedsiębiorstw czy złóż surowców. Konkurencja

silnych gospodarek zachodnich musiała doprowadzić, prędzej czy później, do upadku poważnej części „tubylczej” produkcji, a więc powiększyć biedę i bezrobocie. W sumie budowa kapitalizmu oznaczała więc groźbę stopniowego przekształcenia Polski w kraj kapitalizmu peryferyjnego i zależnego, z wąską elitą na poziomie europejskiego luksusu i podstawową masą ludności żyjącą na niskim poziomie oraz poważnym obszarem biedy.

- ✓ Taka transformacja nie może nie napotkać rosnącego oporu społecznego. Aby w ogóle była możliwa (dla niektórych zachodnioeuropejskich socjaldemokratów była ona nie do wyobrażenia) nie mogło się odbyć bez obezwładnienia pracowniczego większości ludności, przekształcenia jej w przysłowiowy „worek kartofli”.

Środkami (doskonale w Polsce wykorzystanymi) są tutaj: masowa propaganda, której skuteczność opiera się na faktycznym monopolu informacyjnym; zniszczenie pracowniczego samorządu w przedsiębiorstwach (zwłaszcza wielkich); skłócenie i obezwładnienie związków zawodowych; zdyscyplinowanie załóg groźbą bezrobocia i bezrobociem; kupowanie ich zgody na prywatyzację ich przedsiębiorstw korzyściami, jakie wówczas osiągną (nie utracą pracy przez pewien czas, dostaną trochę akcji itp.).

Faktu, że kapitalistyczna transformacja musiała godzić i godziła w interesy większości ludności, solidarnościowa elita była świadoma. „Jeśli na gruzach realnego socjalizmu – można było przeczytać w „Tygodniku Solidarność” (nr 21 z 27.10.89, w artykule E.O. „Nie będzie łatwo”) – tworzyć mamy gospodarkę kapitalistyczną, to dobrze byłoby, aby wszyscy jej zwolennicy, i w rządzie i poza nim, „dopchnęli” rzecz do końca i nie roztaczali idyllicznych widoków powszechnego i sprawiedliwego, słowem – ludowego kapitalizmu, w którym każdy na pewno będzie mieć swój udział. Niestety, kapitalizm po polsku będzie z pewnością systemem dalekim od sielanki. Każdy, kto sądzi inaczej, oszukuje siebie i innych. Ten kapitalizm robić będą dwie główne grupy: biznes zachodni i biznes rodzimy, bo żadne inne robić go nie będą w stanie. Przepustką do klasy biznesu nie będą kwalifikacje, zdolności czy tzw. ogólna pracowitość, lecz pieniądze. Mieć je będzie przysłowiowy Chińczyk z Hongkongu, Amerykanin czy Niemiec. Pieniądze ma też nasza finansjera, złożona w 1/3 z byłej nomenklatury, w 1/3 z byłego rzemiosła i w 1/3 z byłej gospodarki drugoobiegowej. Minie parę ładnych lat, zanim ta osobliwa zbiorowość ułoży sobie ze światem pracy jakieś cywilizowane „modus vivendi”.

„Jeśli rzeczywiście mamy przejść przez tę reformę ustrojową – napisał w „Tygodniku Solidarność” (nr 24 z 17.11.89) wybitny publicysta katolicki Stefan Kisielewski – to przejdziemy przez ten etap, któryśmy opuścili, przez etap kapitalizmu egoistycznego, drapieżnego, walki między ludźmi, lokautów, bezrobocia, wszystkiego tego, co Zachód ma już za sobą”.

Lech Wałęsa w wywiadzie dla „Polityki” (nr 4 z 27.01.90) stwierdził, że świadomie dążył do osłabienia raczej niż wzmocnienia „Solidarności”, gdyż silny związek zawodowy *mógłby przeszkadzać w bijącej w robotników przebudowie gospodarki*. Ale jeśli wiedział to i działał w tym kierunku przywódca związku, to czy mogli tego nie wiedzieć, nie rozumieć, nie aprobować inni czołowi działacze „Solidarności”?

Przywódcy Unii Demokratycznej byli „w tym temacie” dyskretni, ale np. ówczesny szef Kongresu Liberalni-Demokratycznego D. Tusk postawił sprawę publicznie z zaskakującą otwartością. Na spotkaniu z dziennikarzami w maju 1992 roku ujawnił prawdziwy charakter tego, co eufemistycznie nazwano „budową demokracji i gospodarki rynkowej”, „przełomową reformą”, drogą do Europy” i innymi niewinnymi i wabiącymi ludzi terminami. Powiedział mianowicie, że:

- ✓ głównym celem elit politycznych – z Wałęsą na czele – jest budowa ustroju kapitalistycznego;
- ✓ transformacja godzi w interesy większości społeczeństwa;
- ✓ pauperyzacja mas pracujących, nędza i głód są kosztem transformacji, którym władza nie zamierza i nie będzie się przejmować;
- ✓ nie ma się co modlić o spokój społeczny, każda władza w Polsce podejmować będzie niepopularne decyzje i musi pogodzić się z tym, że będzie znienawidzona;
- ✓ demokracja ważna jest tylko o tyle, o ile służy transformacji. Jeśli propaganda i inne tego typu łagodne środki (w tym bezrobocie) nie wystarczą, demokrację się odrzuci;
- ✓ w razie potrzeby opór będzie się łamać siłą, pałkami i karabinami. (Por. A. Gutkowska, „Poglądy pana Tuska, „Życie Gospodarcze” nr 23 z 7.05.92).

Prof. Wolff-Powęska z Poznania napisała potem („Jesień Wiosny Ludów”, „Gazeta Wyborcza” z 29-30.10.94): „Procesy transformacji w krajach Europy

Środkowej wyniosły do władzy siły polityczne, które realizują program reform sprzeczny z oczekiwaniami i interesami zdecydowanej większości społeczeństw”.

Czy grupa ludzi, która ujęła władzę w Polsce w 1989 roku i postanowiła odbudować w niej – a w istocie zbudować od nowa – kapitalizm kosztem wywłaszczania społeczeństwa, obniżki jego poziomu życia, pozbawienia pracy i zepchnięcia w nędzę paru milionów własnych obywateli – czy ta grupa mogła pomyśleć o społecznej gospodarce rynkowej? Owszem, napomknął o niej w swym *expose* katolicki premier T. Mazowiecki, ale o tym, co to miało być, „miał wyobrażenie mętne, było to raczej mgliste marzenie o „kapitalizmie z ludzką twarzą”” (Z. Sadowski, w powołanym odczycie). Potem w konstytucji III RP zostało powiedziane, że ma być budowana SGR – ale pozostał to martwy zapis: jak to stwierdziła prezes PTE pro. Mączyńska, także obecni posłowie nie rozumieją, co to jest ta SGR i po co ona.

Rozwój polskiej transformacji był całkowicie niezgodny z koncepcją SGR i nie mógł być inny, ponieważ realizowany był przez ludzi, którzy na stypendiach zagranicznych nauczyli się neoliberalizmu i uwierzyli weń jak w ewangelię i gdyż budowa liberalnego kapitalizmu zapewniała maksymalne korzyści ekonomiczne zagranicznym opiekunom nowej Polski.

To samo dotyczy rzeczywistej szerokiej demokracji. Przecież gdyby spiskowcy z Brukseli poinformowali choćby tylko członków „Solidarności” o rzeczywistym celu, kosztach i konsekwencjach budowy kapitalizmu, nie mogliby nawet podjąć realizacji zamiaru. Koniecznym warunkiem, aby ja podjąć i rozwinąć, było permanentne oszukiwanie społeczeństwa, jego dezorientowanie, ogłupienie i zastraszanie.

Wiadomo, jak ogromną siłę ma dziś masowa propaganda. Zwykli ludzie nie mają bowiem wiedzy o głębszych związkach zjawisk, nie mogą sobie wyobrazić odleglejszych skutków wydarzeń, z dobrą wiarą przyjmują zapewnienia ludzi i instytucji, którym zaufali, zwłaszcza jeśli obiecują im korzyści. Toteż kto ma w swym ręku władzę i środki masowego przekazu, może dziś wmówić zwykłym ludziom wszystko co zechce i poprowadzić ich tam gdzie chce. Nawet tam, gdzie ich „ostrzygą” jak owce (bo właśnie o to zwykle chodzi) zanim cokolwiek zrozumieją.

Demokracji rzeczywistej, którą Tusk gotów był poświęcić w imię budowy kapitalizmu, nie trzeba było poświęcać, bo jej od początku nie było. Żadne kluczowe dla losów kraju decyzje nie były – i do dziś nie są – uzgadniane ze świadomym, rozumiejącym o co w istocie chodzi społeczeństwem.

Tak było z podjęciem decyzji o budowie kapitalizmu zamiast „Samorządnej Rzeczypospolitej” i wielosektorowej gospodarki rynkowej.

Tak też było z realizującym tę decyzję Planem Balcerowicza. Przedstawiony on został społeczeństwu na 8 stronach gazety. Cel rzeczywisty został ukryty. Przewidziano koszty niezbyt wysokie (np. maksimum 400-tysięczne okresowe bezrobocie), korzyści wkrótce i znaczne. Publikacje „listów intencyjnych” i „memorandów”, w których rząd polski zobowiązywał się wobec instytucji zagranicznych do działań rujnujących przedsiębiorstwa państwowe, obniżających zarobki i zabezpieczenia pracownicze (których to dokumentów społeczeństwo nie było zresztą w stanie dobrze zrozumieć), zostały na życzenie adresatów zaniechane i były tylko czytane posłom z zakazem ujawniania gdziekolwiek ich treści.

Tak było z układem stowarzyszeniowym z EWG. Jego warunki były bardzo niekorzystne, dlatego niektóre istotne jego zapisy (i aneksy do niego) zostały zatajone przed społeczeństwem. Toteż przeciętny Polak do dziś nie ma pojęcia o tym, że bankrutowanie i zamykanie stoczni, hut, kopalń, przedsiębiorstw zbrojeniowych oraz cywilnych w szeregu branż było wykonywaniem tych zapisów, uzgodnioną redukcją polskiego potencjału przemysłowego.

O wielkich niebezpieczeństwach zbyt szybkiego przystąpienia do EWG uprzedzało wielu poważnych ekonomistów zagranicznych – jak np. multimiliarder brytyjski Goldsmith – autor głośnej na Zachodzie a przemilczanej u nas książki „Pułapka” (w polskim wydaniu z rozmową z Goldsmith’em Radka Sikorskiego!). Włączając się do EWG – można było przeczytać w publikacjach zachodnich – kraje Europy Wschodniej otworzą się całkowicie na konkurencję organizmów wielokrotnie silniejszych... Za miejsce w EWG zapłacą redukcją produkcji przemysłowej, rolnej, wielkim bezrobociem, masową biedą. Zachodowi naprawdę potrzebne są tylko ich energia, surowce, tania praca i rynki.

Władze polskie liczyły się z tym, o czym świadczy wypowiedź ówczesnego wicepremiera H. Goryszewskiego, który natychmiast po powrocie z Berlina, gdzie właśnie (1992r.) podpisał umowę stowarzyszeniową, powiedział do prasy: „Wstąpienie do EWG to szaleństwo. Znaczna część gospodarki polskiej zostanie zniszczona. Przejadą po nas jak czołg po piechocie”. Ale – dodał bezradnie – „niewstąpienie do EWG to także szaleństwo”.

Tak było również ze wstąpieniem Polski do Unii Europejskiej.

Władze – bez różnicy czy „postsolidarnościowe” czy „postkomunistyczne” – wykazywały rosnącą determinację w tej sprawie. Niewątpliwie jedna z podstaw tego było głębokie przekonanie „euroentuzjastów”, że nie ma dla Polski innej drogi, wiara w deszcz zachodnich inwestycji i dotacji unijnych, w możliwość pomnożenia eksportu

na zachodnie rynki, rozładowania bezrobocia emigracją zarobkową (co okazało się po części słuszne). Inną z podstaw była niezdolność do opracowania i realizacji (po odejściu G. Kołodki) zasadniczo odmiennej od liberalnej strategii i polityki.

Obiecywane były rzetelne analizy i publiczne dyskusje o korzyściach i kosztach wejścia do klubu silnych i bogatych, ale do nich nie doszło. Elita podjęła już bowiem decyzję. Aby dzieło transformacji polski w kraj kapitalistyczny – liberalno-kapitalistyczny – i wreszcie w europejską prowincję – zakończyć i na zawsze zabezpieczyć, doszło do „porozumienia ponad podziałami”. Społeczeństwo miało zostać przekonane totalną propagandą pod hasłami „jedyna droga”, „droga do nowoczesności i dobrobytu”, „polski interes narodowy”, „polska racja stanu”. Ponieważ propaganda skutkowała, w tym wypadku dopuszczono do referendum – w którym większość odpowiedziała się za przystąpieniem do Unii.

Tak było – bez niepewnego referendum – z włączeniem Polski do rozbójniczej amerykańskiej agresji na Irak i potem (tym razem pod flagą ONZ) do wojny w Afganistanie.

Tak jest dziś w kwestii traktatu lizbońskiego. Jego treści społeczeństwo oczywiście nie zna, ale nikt też mu nie miał zamiaru jej obiektywnie przedstawić, skoro sprawę załatwiał parlament (jak w innych krajach Unii, w których aprobata społeczna była niepewna, z wyjątkiem Irlandii). Ale uparł się prezydent, który ma podstawy do nieufności znając traktat; jakie – tego społeczeństwo nie wie, bo też nikt wyraźnie nie chce mu ich przedstawić.

Tak jest wreszcie w kwestii amerykańskiej tarczy antyrakietowej. Uzasadnienia jej celu i rzekomych korzyści dla Polski są jawnie zakłamane, obrona Polski przed Rosją przez USA wydaje się być pomysłem wynikłym ze skrzyżowania antyrosyjskiej obsesji ze ślepą wiarą i służalczością wobec amerykańskiego imperializmu.

Zamiast rozmowy ze społeczeństwem – brudna fala jego propagandowej obróbki, manipulowania nim. Argumentacja pół- i ćwierćprawdami, często wręcz jawnymi kłamstwami, niekiedy absurdalna. Cyniczne obietniczki korzyści z łamania praw innych ludzi, społeczeństw, narodów – wszystko rzekomo w patriotycznym polskim interesie. Czy nie można inaczej? Chyba nie, gdy cele są obce społeczeństwu.

5. XV Zjazd Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego negatywnie ocenił Plan Balcerowicza i ostrzegł przed jego realizacją. Uznał, że głównym celem reformy

powinna być budowa ładu ekonomicznego wysoce efektywnego dla wzrostu poziomu życiowego społeczeństwa. Efektywność zapewniałaby – jego zdaniem – swobodna przedsiębiorczość we wszystkich formach własności i mechanizm rynkowy sprzęgnięty z interwencjonizmem państwowym; w budowie takiego ładu zainteresowane byłoby całe społeczeństwo.

W początku grudnia w referacie „Sens i konsekwencje realizacji programu gospodarczego wicepremiera Balcerowicza” członkom uniwersyteckiej „Solidarności” przedstawił sytuację autor niniejszego opracowania. Obecny na zebraniu St. Gomułka bronił planu, a poseł R. Bugaj bardzo się martwił o to by, parlament zdążył przed 1 stycznia 90 uchwalić 13 ustaw umożliwiających start planu.

Później własny plan zaprezentował (w *Życiu Gospodarczym*) G. Kołodko. Przez dłuższy czas toczyła się dyskusja pomiędzy ekonomistami i działaczami pomniejszych ugrupowań politycznych, co i jak należy zrobić a czego nie w gospodarce. Było to jednak tak, jakby rozmawiały ze sobą ścięte już kwiaty, bowiem decyzje rządu i międzynarodowych organizacji finansowych (MFW, BŚ) już zapadały i były nie do podważenia, a plan wystartował.

Oficjalnym pierwszoplanowym celem była walka z inflacją, ale pod tą osłoną uruchomiony został mechanizm zniszczenia przedsiębiorstw państwowych i pierwotnej akumulacji kapitału prywatnego. Opisany on został w licznych publikacjach „opozycyjnych” (także autora tego opracowania), w tym w książce J. Głowczyka „Szalbierski urok transformacji” (Warszawa 2003).

W latach 1990-93 sześć kolejnych rządów solidarnościowych realizowało nadrzędny cel ustrojowy. Bez względu na koszty szybko postępowała prywatyzacja. Skutki były jednak zastraszające: ceny towarów i usług konsumpcyjnych wzrosły ponad 22 razy, nakłady inwestycyjne spadły o 12% (w stosunku do 89 r.), eksport wzrósł o 7 a import o 53% wypierając krajową produkcję i powodując rosnący deficyt bilansu płatniczego. Stopa bezrobocia doszła do 16,4%, produkt krajowy brutto w 1991 roku spadł do poziomu z 1983. Rosło rozgoryczenie ludności, więc „Solidarność” zwinęła w końcu „parasol ochronny” nad rządem. Gdy w 1993 roku bezrobocie zbliżyło się do 3 milionów, solidarnościowa elita utraciła władzę w wyborach. Niespodziewanie dostała się ona w ręce koalicji SLD – PSL.

Po raz pierwszy od 1989 roku mogła nastąpić zmiana strategii i polityki gospodarczej. Oczywiście nie mogło być mowy o cofnięciu przemian, które już nastąpiły; nie dopuściłyby do tego prokapitalistyczne ugrupowania w kraju i przede

wszystkim ośrodki zagraniczne. Rozumiała to i wcale nie miała takiego zamiaru koalicja SLD – PSL.

SLD przeszedł głęboką przemianę. Początkowo „postkomuniści” upierali się przy gospodarce mieszanej, nie chcieli wstąpienia Polski do NATO itd. Porzucili jednak te pozycje aby zachodni opiekunowie transformacji pozwolili im – jeśli powstanie taka sytuacja – objąć władzę choćby na czas jakiś; a gdyby do tego doszło, zapowiedzieli, że będą budować kapitalizm w Polsce dalej, i lepiej niż solidarnościowe. Siemiątkowski („Gazeta Wyborcza” z 5.03.94) mówił otwarcie i bezwstydnie: „Chodzi o Polskę dla 15-20% - dla klasy średniej – kosztem pracowników sfery budżetowej, rencistów i emerytów, pracowników zakładów przemysłowych przeciwnych prywatyzacji i reformie modernizacyjnej”. A. A. Kwaśniewski następująco ocenił plan Balcerowicza: „Wiemy jak on był wprowadzony – szybko, zdecydowanie, z zaskoczenia, aby go można było przepchnąć w sejmie póki niewielu zorientuje się, o co chodzi. *No i dobrze*” („Polityka” z czerwca 94).

Można było jednak zmienić w pewnym stopniu strategię i politykę gospodarczą i zamiast „dzikiego kapitalizmu” pierwotnej akumulacji zacząć budować „kapitalizm z ludzką twarzą” i może w perspektywie – społeczną gospodarkę rynkową. Wicepremier M. Borowski miał jednak zamiar kontynuować liberalną politykę (taki był budżet na 94r., taka - aferalna prywatyzacja Banku Śląskiego, przechylenie szali na rzecz utworzenia NFI w rękach zagranicznych menedżerów), ale gdy zażądał wolnej ręki w gospodarce - Pawlak go zdymisjonował. Zastąpił go G. Kołodko. Słuchając porad i żądań MFW/BŚ w koniecznej tylko mierze, realizował on konsekwentnie swoją „Strategię dla Polski”, z doskonałym wynikiem. Nastąpił szybki wzrost gospodarczy (do blisko 7% w 1997 roku), spadało bezrobocie, prywatyzowano przedsiębiorstwa gdy to rzeczywiście miało sens ekonomiczny, różnicowanie się dochodów zostało spowolnione i zahamowane.

W książce „Od szoku do terapii. Ekonomia i polityka transformacji” (Warszawa 1999) G. Kołodko napisał m.in.: „Ciągły nacisk na prywatyzację – czy to był przemysł samochodowy w Czechach, czy usługi telekomunikacyjne na Węgrzech, czy wytwórnie papierosów w Polsce, czy pola gazonośne w Azerbejdżanie, czy banki komercyjne w Bułgarii, czy przedsiębiorstwa energetyczne w Rosji – nie stanowi jedynie środka przeciwdziałającego prywatyzacji naprawdę zbyt wolnej. Jest zarazem narzędziem lobbingu na rzecz taniej wyprzedaży najbardziej dochodowego majątku. (...) Największą troską niektórych nowych lobbies, najwięcej zyskujących na prywatyzacji, nie jest poprawa zarządzania przedsiębiorstwami, lepsza sytuacja budżetowa czy wyższy poziom życia społeczeństwa, a jedynie możliwość łatwego i taniego dostępu do prywatyzowanego bogactwa narodowego”. „Prywatyzacja to nie tylko przenoszenie praw własności ... to także rzadki w dziejach sposób natychmiastowego wzbogacenia. Toczy się więc na tym polu brutalna walka o redystrybucję majątku ... bogaty staje się nie ten, kto najwięcej zarabia, ale

ten, kto zdoła najwięcej zgromadzić, przede wszystkim w wyniku prywatyzacji”. „Politycznie motywowana presja międzynarodowa, która przyspieszyła lokalne procesy decyzyjne, wymusiła cały szereg rozwiązań. W rezultacie w niektórych przypadkach (chyba w wielu! – J.D.) racje międzynarodowe przeważały nad racjami krajowymi. Najlepszym przykładem jest prywatyzacja, w której wszystkim krajom prowadzącym transformację doradzały rządy innych państw i ciała międzynarodowe dbając przede wszystkim o własne interesy, a dopiero w drugiej kolejności o społeczno-gospodarczy stan krajów, którym doradzały i pomagały”. (Zob. op. cit., s. 188-9 i 226).

Władze SLD dopuściły jednak do ustąpienia Kołodki (wskutek nieporozumień z Kwaśniewskim zwłaszcza, podobno). Jego następca M. Belka nie był ekonomistą tej miary i charakteru. SLD zbyt pewny siebie wskutek gospodarczego i społecznego sukcesu przegrał wybory w 1997 roku.

Jeszcze w czerwcu tego roku zawitała do warszawy misja MFW. Uznała ona, że Polska „rozwija się zbyt szybko jak na swoje możliwości” i że ten wzrost „powinien być ograniczony o połowę” (zob. D. Walewska, „Czas wielkiego hamowania”, „Rzeczpospolita” z 26.06.97 – On Line). Szef nowej koalicji AWF – UW prof. J. Buzek (chemik z zawodu) zapowiedział w swoim *expose* – dokładnie na odwrót – podwojenie tempa wzrostu, aby Polska mogła dogonić kraje zachodnie, ale wicepremierem był już znowu Balcerowicz. Ten wiedział co robić.

Znów spadły nakłady inwestycyjne, skokowo wzrósł import, stopa bezrobocia wzrosła z 10 do 17% (bezrobocie z 1.800 do 3.100 tys.). Tempo wzrostu BKB obniżyło się z 7 na 1% w 2001 roku. Skończyło się to całkowitą klęską koalicji AWS-UW w kolejnych wyborach.

Powrócił do władzy SLD. Wicepremierem od gospodarki znów został M. Belka, którego – jak to stwierdził Miller – „lepiej widziały międzynarodowe koła finansowe” od zbyt samodzielnego Kołodki. Belka zrezygnował jednak („wyczerpał się”), więc ściągnięto Kołodkę, ale gdy Miller stopniowo ograniczał jego inicjatywę na rzecz liberała Haussnera – znowu odszedł. Szansa na zmianę polityki na prospołeczną tym razem praktycznie nie zaistniała. Mimo pewnych osiągnięć gospodarczych (dumą Millera było formalne „wprowadzenie Polski do Europy”) rząd gwałtownie tracił poparcie pod huraganowym ogniem oskarżeń o korupcję i upadł w następnych wyborach, grzebiąc też szansę na władzę „demokratycznej lewicy” na długi czas.

6. Trzeba teraz powrócić do momentu, gdy szansa na zmianę strategii i polityki transformacji z neoliberalnej na prospołeczną realnie zaistniała, czyli do 1993 roku. Nadzieja na to zaktywizowała wówczas również polskich działaczy katolickich.

Kościół katolicki z oczywistych przyczyn był wrogiem socjalizmu i komunizmu, także realnego socjalizmu funkcjonującego w Polsce Ludowej. Władze PRL go nie zniszczyły, ale bardzo go ograniczyły w majątku i oddziaływaniu na społeczeństwo, toteż upadek systemu przyjął on z satysfakcją i radością. Jednak to, co nastąpiło po 1989 roku, nie mogło wzbudzić jego zachwyty.

Kościół od Średniowiecza, w którym czuł się doskonale, uznawał własność prywatną za właściwą podstawę stosunków społecznych. Gdy pojawił się system kapitalistyczny, także go uznał po dłuższym czasie, ale z zastrzeżeniami. W końcu XIX wieku potępił ideologię i politykę kapitalistycznego liberalizmu, bezwzględne w stosunku do słabych ekonomicznie jednostek i grup, spychającego część społeczeństwa do poziomu niegodnego człowieka. Kapitalistyczna transformacja w Polsce oparła się tymczasem na liberalnej ortodoksji i była budową, drastycznymi metodami, bezwzględnego – „dzikiego” kapitalizmu.

Solidarnościowa elita daleka była od chęci realizacji chrześcijańskiego ideału państwa i gospodarki, chrześcijańskiej wersji społecznej gospodarki rynkowej, nawet nie podjęła takiej próby. Całkowicie zawiodły zarówno główne (ZChN) jak i pozostałe katolickie ugrupowania polityczne. Szybko biedniejące masy pracownicze nie znalazły obrońców wśród antykomunistów, więc poszukały ich gdzieindziej: gdy nieopatrznie dopuszczone zostały do głosu, w akcie wyborczym dały władzę ugrupowaniom wywodzącym się z poprzedniego systemu. Główne z nich było tradycyjnym przeciwnikiem Kościoła, toteż nie widział on możliwości współpracy z koalicją SLD-PSL.

Znów więc stało się niedobrze i trzeba było spróbować to zmienić. Ale jak?

W tej sytuacji powstał pomysł odbudowy katolickiej partii pracowniczej – Stronnictwa Pracy – które mogłyby w perspektywie pokierować politycznie „Solidarnością”, a także odtworzyć na jej bazie chrześcijańskie związki zawodowe. Przypuszczano, że uda się też rozłamać i przeciągnąć na katolicką stronę część przynajmniej tworzących „postkomunistyczną” koalicję mniejszych ugrupowań. Gdyby to wszystko się udało, powstałaby szeroka, silna i trwała koalicja sił katolickich. Wspólnym zgodnym wysiłkiem katolickiego przecież w ogromnej większości

społeczeństwa polskiego zbudowany zostałby we własnym domu wzorowy kapitalizm, „kapitalizm z chrześcijańską twarzą”.

Koncepcję tę przedstawił T. Przeciszowski na jesieni 1993 roku, m.in. w solidarnościowym „Kurierze Mazowsza” (nr 268). W jego schemacie politycznym środkową pozycję zajmowały stronnictwa reprezentujące drobnych wytwórców wiejskich i miejskich (chłopów, rzemieślników i pewnie także drobne kupiectwo i usługi) oraz urzędników i fachową zwłaszcza inteligencję (PSL, Unia Demokratyczna i utworzony właśnie przez Wałęsę Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem).

Na prawo od tego centrum były stronnictwa reprezentujące własność i przedsiębiorczość, ale umiarkowane, gotowe bronić interesów swego elektoratu metodami negocjacyjno-arbitrażowymi. Na lewo od centrum analogiczne stronnictwa reprezentujące pracowników, zwłaszcza najemnych (tu przyszłe Stronnictwo Pracy; istniejąca już Unia Pracy nie figurowała tutaj). Te 3 ugrupowania to potencjalni sojusznicy, siły polityczne, które „mogły i powinny” postawić sobie za cel i realizować budowę społecznej gospodarki rynkowej opartej na zasadach etyki chrześcijańskiej (kłopot byłby tylko z laickim skrzydłem UD).

Dalej na prawo i lewo: przeciwnicy – stronnictwa nastawione na realizację „egoistycznych interesów klasowych poprzez walkę klas i niszczenie przeciwnika”. Konserwatyści i liberałowie z jednej, a socjaliści, komuniści i postkomuniści z drugiej strony.

Z tego schematu wynikały określone wskazania praktyczne na dziś i jutro. Najważniejszym zadaniem na dziś stawiało się rozbięcie zwycięskiej właśnie koalicji, oderwanie PSL od SLD (np. w związku ze sprawą konkordatu). PSL, dzięki odpowiedniemu kierownictwu, w przyszłości powinno być zostać w pełni schryścianizowane, a SLD osłabiony (może udało by się oderwać od niego niektóre ugrupowania) i w pełni izolowany.

Stronnictwa prawicowo-klasowe należało wezwać do opamiętania. Było możliwe, że część ich działaczy zrozumie swe błędy i zasili szeregi prawicy korporacyjnej (negocjacyjnej); nie widać wprowadzić jeszcze tej formacji, ale na pewno stworzą ją rozsądni przedsiębiorcy-katolicy. Bezbożnych i bezwzględnych liberałów należało natomiast ostro zwalczać.

Z lwicą korporacyjną (negocjacyjną) był podobny kłopot jak z takąż prawicą. Unia Pracy nie była katolicka, dużo w niej było elementów laickich i postkomunistycznych, ciążyła do koalicji SLD. Może udałoby się z niej jednak wyłuskać pewne grupy. Jeśli, dalej, nie całe ugrupowania chrześcijańsko-demokratyczne, to przynajmniej część ich działaczy powinna zrozumieć swe błędy i zasilić szeregi lewicy korporacyjnej. Dojdą też działacze „Solidarności”.

Nic się jednak takiego nie udało. Szeroka, silna trwała koalicja sił katolickich nie powstała, a walka Kościoła z SLD-PSL, zamiast ich poparcia, przyczyniła się do ich klęski w wyborach 1997 roku, utraty możliwości stopniowej budowy SGR, do powrotu Balcerowicza i ponownego podjęcia budowy w Polsce kapitalizmu na antyspołecznych zasadach neoliberalizmu.

Warto zastanowić się, dlaczego to się nie udało – tym bardziej, że instytucje trudniej się jeszcze zwykle uczą niż ludzie i powtarzają swe błędy (wiele wskazuje na taką tendencję – powtórzenia fatalnych błędów – także w dzisiejszej sytuacji).

W koncepcji Stronnictwa Pracy błędna była przede wszystkim – jak się wydaje – ocena dwóch z spośród trzech ugrupowań uznanych za centrowe: Unii Demokratycznej i BBWR.

W celach manipulacji politycznej, a niekiedy wskutek politycznego zaślepienia i zwykłej głupoty doszło u nas do zupełnego czasem pomieszania pojęć. „Obozem konsekwentnie reformatorskim” nazwała się kompradorska (związana z obcym kapitałem) część elity, a „obozem patriotycznym” inna jej część – ta, która mimo wielokrotnych usiłowań do władzy nie mogła się dorwać.

Trzonem pierwszego z obozów były ściśle współpracujące ze sobą KL-D i UD. Jednym z najbardziej absurdalnych pomysłów „patriotów” było przypisanie UD lewicowości. W istocie nie było to nie tylko ugrupowanie lewicowe, ale nawet centrowe. Czołowi jego działacze byli od początku najbardziej świadomą kapitalistycznego celu częścią solidarnościowej elity. Zainicjowali oni „reformę”, czyli budowę kapitalizmu szybko i każdym kosztem i jeśli pominąć incydent z Olszewskim – cały czas ją prowadzili, w ścisłym porozumieniu z ośrodkami zagranicznymi. „Europejskość”, humanistyczny i demokratyczny frazes kamuflowały rzeczywisty charakter i rolę tego ugrupowania – politycznej czołówki brutalnego kapitalizmu dokonującego pierwotnej akumulacji kosztem współobywateli. Co przywódcy UD starannie ukrywali, odsłaniali od czasu do czasu ich bliscy sojusznicy z KL-D.

Lech Wałęsa, którego pomysłem było wtedy BBWR, jesienią 1989 roku zaaprobował plan szybkiej kapitalistycznej transformacji Polski i potem cały czas osłaniał go, torował mu drogę, wszelkimi sposobami pomagał w jego realizacji (np. w 1993 roku rozwiązując parlament i dając rządowi Suchockiej jeszcze 4 miesiące). Sam też chciał zastąpić prawicę, która się do sejmu nie dostała, a BBWR deklarował – jako pierwszoplanowe zadanie – obronę „świętej własności prywatnej”, w tym tego właśnie, co udało się wydrzeć społeczeństwu (*nota bene* Kościół, zwolennik własności opartej na własnej pracy, nigdy nigdzie – o ile wiem – nie potępiał „twórczej destrukcji” i niesłychanego rabunku społecznej własności dokonywanego w procesie prywatyzacji).

Wymienione ugrupowania miały zatem charakter prawicowy a nie centrowy, reprezentowały wraz z KL-D klasowe interesy kapitału, także zagranicznego, o które walczyły bezpardonowo. Mogły one przecież, ale nie chciały budować społecznej

gospodarki rynkowej, budowały „dziki kapitalizm” na wzór dziewiętnastowiecznego i było naiwnością sądzić, że będą w przyszłości robić co innego.

Błąd ten wywraçał całą koncepcję Stronnictwa Pracy. Walka zaś z SLD-PSL jako głównym wrogiem przypominała walkę niemieckich komunistów z socjaldemokracją jako głównym wrogiem gdy Hitler dokonywał faszystowskiego przewrotu.

7. Aby SGR powstała i pomyślnie funkcjonowała, musi być spełnionych szereg warunków pozytywnych. Pierwszym z nich jest dostateczna siła i determinacja jej zwolenników. Z reguły istotnym elementem tej siły jest partia socjaldemokratyczna i jej elektorat – zorganizowani związkowo pracownicy. W Szwecji to wystarcza (partia konserwatywna zwyciężyła incydentalnie, nie zdołała też istotnie ograniczyć istniejącego systemu). W innych krajach potrzebne jest na ogół porozumienie partii pracy oraz partii części klasy kapitalistycznej uznającej potrzebę i korzyści z SGR – co najmniej co do tego, że w wypadku wyborczego zwycięstwa nie zaczną wraz z sojusznikami likwidować SGR. Dalszymi warunkami są wystarczająca do regulowania gospodarki i problemów społecznych siła państwa i brak dławiącego nacisku na gospodarkę konkurencji zagranicznej (nie mówiąc już o nacisku politycznym).

Przeszkodami w dojściu do „porozumienia dla SGR” są zasadnicze różnice w interesach i poglądach; różnice i wątki uboczne, nieekonomiczne (np. fundamentalizm religijny); narosłe historycznie głębokie wzajemne uprzedzenia ugrupowań politycznych (jak uzasadniona nieufność); szczególne wzajemne nietolerowanie cechy przywódców (w tym wzajemna wrogość osobista).

Zabrakło u nas warunków pozytywnych, a wiele było przeszkód nie tylko w 1993 roku, gdy władzę ujęła koalicja SLD-PSL (o czym była już mowa), ale także w okresie koalicji AWS-UD i potem rządów millerowskiego SLD.

AWS wydawałaby się partią idealną do tego, aby wreszcie rozpocząć budowę SGR. Dominujący jej elektorat stanowili pracownicy-katolicy. Jednak partia po wyborach jest tym, czym jest jej kierownictwo. Grupa kierownicza AWS była wprawdzie pod silnym wpływem Kościoła, ale nie wysunęła nawet (o ile pamiętam) idei istotnej zmiany strategii i polityki gospodarczej, idei SGR. Krzaklewski należał przecież do solidarnościowej elity działającej od początku w innym zupełnie kierunku. Charakter koalicjanta AWS Unii Demokratycznej był już w pełni i niedwuznaczny,

zwłaszcza gdy wybrała Balcerowicza na prezesa. Prof. Buzek miał nobliwy wygląd i kulturę osobistą, ale niewiele do powiedzenia w kluczowych sprawach; jego „przełomowe reformy” – na których realizację „schładzana” właśnie przez Balcerowicza gospodarka nie posiadała środków – miały w istocie liberalny charakter i nie mogły obudzić powszechnego zaufania i aprobaty. Rezultatem był głęboki spadek poparcia AWS w społeczeństwie i jej porażająca klęska wyborcza. Nadzieja działaczy katolickich i kościoła na „Solidarność” jako „katolicką siłę” rozwiąła się.

Masy pracownicze przypominały sobie dobry okres poprzedniej koalicji i zagłosowały na wiele obiecujący („jesteśmy przygotowani do rządzenia”) SLD. Nie dawała wprawdzie ta partia nadziei na budowę „kapitalizmu z chrześcijańskim obliczem”, ale rozpocząć i zaawansować (choć nie – trwale zabezpieczyć) budowę SGR mogłaby.

Nie zrobiła tego z kilku powodów. Przede wszystkim dlatego, że choć zapisana w konstytucji, nie była to jej koncepcja.

Przed SLD stanęła w pierwszym rządzie gdzie kwestia naprawy gospodarki, znów zrujnowanej przez Balcerowicza. Konieczna była istotna redukcja ponad trzymilionowego bezrobocia (w tym zapewnienie pracy młodzieży); odbudowa inwestycji aby podnieść stopę wzrostu gospodarczego, produkcji i konsumpcji; uporządkowanie służby zdrowia itd. Na tym wszystkim górował problem „dziury budżetowej”. W kwestii, jak ją zamknąć, poglądy się rozeszły. Miller, zamiast zawierzyć Kołodce – twórcy sukcesu gospodarczego w latach 94-97, przychylił się coraz bardziej ku liberalnym (Hausssnera) pomysłom załatwienia sprawy cięciami wydatków socjalnych (oto jak silny już był wpływ doktryny neoliberalnej: nawet „postkomunista” myślał zgodnie z nią!). Wszystko zaś miało rozwiązać i uładzić przyjęcie Polski do Unii Europejskiej i pieniądze od niej. Przygotowaniu tego poświęconego gros wysiłków.

Samodzielną poniekąd przyczyną niepowodzeń SLD był autorytaryzm jej szefa. Słuchał on chyba tylko tych i tego, których i czego chciał słuchać, a w działaniu nie liczył się z konsekwencjami politycznymi dla własnej partii. Doprowadził ja przez to do utraty znacznej większości elektoratu i niemal zlikwidował jako siłę polityczną.

Trzecią z głównych przyczyn niepowodzenia SLD było to, że niemal żadne z pozostałych ugrupowań politycznych nie chciało z nim w czymkolwiek współpracować, a dwie największe, *pseudonowe* partie – Platforma Obywatelska i

Prawo i Sprawiedliwość – zrobiły wszystko, aby „postkomunę” izolować, rozbić, obalić i ostatecznie dobić.

Kolej teraz wreszcie na ostatnie jak dotąd etapy „polskiego piekła”: rządy PiS, jej klęska wyborcza „na życzenie” w połowie kadencji, władza w rękach PO.

Za prezydentury Wałęsy bracia Kaczyńscy utworzyli Porozumienie Centrum, aby zerwać ciche porozumienie elity solidarnościowej z częścią elity peerelowskiej, popularnie zwane „władza za własność”, i całkowicie pozbawić „komunę” tak jednego jak drugiego i w ogóle wszelkiego wpływu na nowe społeczeństwo. Wtedy to się nie udało. Druga próba nastąpiła w innych warunkach – właściwie już za późno, nowe mieszane grupy uprzywilejowane transformacją już istniały i się umocniły – ale była lepiej przygotowana. Zestawy haseł skupiły wiele różnych odłamków społeczeństwa w ten czy inny sposób poszkodowanych w toku transformacji, w siłę dostateczną, by PiS po zaciętej walce z PO wygrał wybory. Porządził 2 lata, więc można się było zorientować, jak miała być IV Rzeczpospolita.

Miała to być przede wszystkim Polska całkowicie wolna od komunizmu wewnątrz (odebranie wszelkich środków dających „komunie” wpływ na społeczeństwo) i aktywnie zwalczająca jego pozostałości w świecie.

Miała to być, dalej, Polska chrześcijańska, katolicka (bez jednak wojującego fundamentalizmu i przewagi kościoła nad państwem) wewnątrz i krzewiąca wiarę chrześcijańską na zewnątrz (w Europie Zachodniej zwłaszcza, ale nie tylko).

Miała to być następnie Polska dla Polaków przede wszystkim, z maksymalnie suwerennym państwem, w której obcokrajowcy są mile widziani pod warunkiem przestrzegania krajowych praw i obyczajów i działają co najmniej niesprzecnie z polskim interesem narodowym. Główne zagrożenie stanowiła tu Rosja, ale stwarzał je także silny sąsiad z zachodu i unijne tendencje do budowy państwa ponadnarodowego „Europa”. Maksymalne bezpieczeństwo zapewniał tylko sojusz z USA.

Miała to być (była już) Polska kapitalistyczna, ale z zapewnioną przewagą kapitału polskiego, prywatnego ale w niezbędnej części i dziedzinach (np. bankowość) także państwowego lub kontrolowanego przez państwo. Różne grupy społeczno-zawodowe powinny były solidarnie współpracować dla dobra kraju, a zasady tej współpracy i korzyści z niej różnych grup regulowałoby państwo (to chyba głównie oznaczało hasło „Polska solidarna”).

Był to program kapitalizmu narodowego. Kapitalistyczną gospodarkę rynkową, jak i całość życia społecznego, regulowało tu silne państwo, z silną partią narodowo-demokratyczną z silnym kierownictwem na czele.

Miał to być zatem kapitalizm nie o społecznej gospodarce rynkowej lecz o narodowej gospodarce rynkowej. Co to oznaczało praktycznie?

W krótkim okresie rządów PiSu główna część jego energii poświęcona została walce z konkurencyjną PO, zorganizowaniu antykomunistycznej lustracji i czystki w

szczególnie ważnych ogniwach aparatu władzy (bezpieczeństwo, wojskowe służby informacyjne, dyplomacja) oraz polityce zagranicznej (głównie antyrosyjskiej i proamerykańskiej, ostrożnej wobec Niemiec i niechętniej budowie scentralizowanej Europy najsilniejszych). W próbach rozwiązania bieżących problemów ekonomicznych i społecznych ujawniło się też stanowisko PiS w tych dziedzinach. Nie miał on zamiaru cofać kapitalistycznej prywatyzacji, poza jej szczególnie szkodliwymi dla kraju przypadkami (wyjątkowa grabież, zagrożenie interesu narodowego, suwerenności gospodarczej kraju) – ale także dokonywać jej dla samej jej idei. Nie miał też zamiaru ustępować wobec nacisków płacowych i innych różnych grup pracowniczych (chciał sam to potem uregulować). Miał natomiast zamiar liczyć się poważnie z interesami biznesu, przyjmując, że przekładają się one na rozwój gospodarczy kraju.

Głosząc hasło „Polska solidarna a nie liberalna”, odrzucając neoliberalizm, władze PiS uległy jednak wyraźnie (tak jak przedtem Miller!) klasycznej doktrynie liberalnej. Gospodarczy program partii był niejasny – niewyraźny; nie mówił jak – poza szczęśliwie akurat otwartą emigracją – zwalczyć ogromne chroniczne bezrobocie, jak zahamować dalszą dochodową i majątkową polaryzację społeczeństwa, jak cofnąć masową biedę i wynikające z niej patologie, jak wzmocnić pozycję polskiej gospodarki w Europie znacznie od nas silniejszych itd.

Stanowisko rządu w konkretnych sprawach było natomiast dość jasne. W werbalnej otoczce troski o sprawy socjalne realizowane były posunięcia korzystne dla przedsiębiorców – jak np. zmniejszenie „klina podatkowego” i obniżenie deficytu budżetowego zamiast dofinansowania załamującej się służby zdrowia. Zrobiona wicepremierem liberalna ekonomistka Z. Gilowska ogłosiła, że drogą do zmniejszenia bezrobocia i przyspieszenia wzrostu gospodarczego jest obniżka kosztów pracy i podjęła działania w tym kierunku.

Aby uwolnić się od obu kłopotliwych koalicjantów – zbyt krańcowych na lewo lub prawo grup Leppera i Giertycha – a jednocześnie umocnić przewagę nad PO, zadufane kierownictwo PiS zaryzykowało przedterminowe wybory - i utraciło władzę. Po tym spadło znacznie poparcie społeczne dla PiSu i stara się on teraz to wszystko odrobić prowadząc w tym celu nieustanną walkę propagandową z PO. PO mu w tym nie ustępuje i tak szarpią się codziennie ku zdenerwowaniu i zmęczeniu publiczności. PiS może wygrać tę wojnę, jeśli PO popełni poważne błędy gospodarcze i społeczne (np. dopuści do upadku przemysłu stocznioowego i strajkowego wybuchu). Może też nastąpić znaczne pogorszenie koniunktury, łagodzącej dotąd sytuację społeczną.

PO jest partią czysto liberalną, której kierownictwo nauczyło się jednak – z dotychczasowych doświadczeń własnych i cudzych (upadła wszak większość partii istniejących w początku okresu transformacji) – dużej ostrożności w słowach i działaniach. Jest ta partia bezpośrednią spadkobierczynią KL-D, partii pierwotnej akumulacji kapitału, partii interesów kapitału krajowego i zagranicznego jednocześnie, o horyzoncie „europejskim”, tzn. gotowej zrobić z Polski europejską prowincję. Po PO budowy w Polsce społecznej gospodarki rynkowej spodziewać się nie można.

Jaka więc jest ogólna sytuacja i perspektywa budowy takiej gospodarki w Polsce?

- Rządzi aktualnie partia reprezentująca interes najsilniejszych i najbardziej bezwzględnych grup kapitału krajowego, oraz zagranicznego na łowach w Polsce. Interesy te, często ze sobą ściśle powiązane, znajdują oparcie i poparcie w grupach kapitałowych i aparacie Unii Europejskiej.
- Druga z dwóch głównych partii – PiS, który utracił władzę ale stara się i może jeszcze odzyskać – jest partią kapitału narodowego o niewiadomej jeszcze wrażliwości społecznej. Na pewno jednak nie chodzi jej o zbudowanie SGR.
- Socjaldemokracja, która gdzieindziej jest istotnym komponentem sił podtrzymujących SGR, straciła wpływy i uległa rozbiciu. SLD próbuje się odbudować, podejmuje obronę interesów pracowniczych, ale nadzieje na prosocjalne rozwiązania w Polsce wiąże z przenikaniem idei zachodnioeuropejskich, z siłą zachodnioeuropejskiego ruchu socjaldemokratycznego; dlatego popiera ściślejszy związek Polski z Unią Europejską – podobnie jak PO, która robi to samo z odwrotnych pobudek: dla wsparcia przez zachodni kapitał.
- PSL i inne ugrupowania polityczne chłopskie i inteligenckie praktycznie się dzisiaj nie liczą (służą co najwyżej do zapewnienia przewagi w parlamencie któremuś z głównych graczy).
- Kościół ma troski dość dalekie od trosk społeczeństwa, a w szczególności świata pracy: o życie od poczęcia do naturalnej śmierci, o – raczej jeszcze u nas nie zagrożone przez odmieńców – normalne małżeństwa, o wychowanie religijne i bez przedmałżeńskiego seksu młodych, o naturalne jedynie metody antykoncepcji itd. Zastanawia się też nad sposobem rechrystianizacji Europy Zachodniej (choć nie tylko) i roli w tym katolickiej Polski. Umacnia w tych celach swoje pozycje

wszędzie gdzie to możliwe. Zrezygnował natomiast – jak się wydaje, po próbach z ZChN, Stronnictwem Pracy, chrześcijańskimi związkami zawodowymi oraz kłopotach z Radiem Maryja – z idei utworzenia „katolickiej siły” i programu budowy w Polsce „kapitalizmu z chrześcijańską twarzą”. Przynajmniej na razie. Aby ulżyć biednym rozwija akcje charytatywne.

- Społeczeństwo jest rozbite. Robotnicy i pracownicy rozbili się na 2 części gdy powstała „Solidarność”. Spełniła ona swoją rolę w burzeniu systemu realnego socjalizmu, potem osłaniała pierwotną akumulację kapitału i ostatecznie straciła swą charyzmę i siłę biorąc udział we władzy pod kierownictwem UD i Balcerowicza. Dziś organizuje tylko lokalne walki obronne pracowników, zwykle bez i przeciw innym związkom zawodowym. Na szerszą koncepcję nie ma sił umysłowych ani fizycznych. Z CRZZ współpracy unika. Cały ruch związkowy jest zbyt słaby by skutecznie bronić praw pracowniczych.

Społeczeństwo jest zdeintegrowane także politycznie i moralnie. Nie ma wspólnych wartości i celów. Partie polityczne nie są zdolne do porozumienia i współpracy w imię takich wartości.

- Państwo polskie zostało w toku neoliberalnej przebudowy wykorzystane do zniszczenia własnej bazy materialnej i potem obezwładnione prawnie (przepisami konstytucyjnymi i unijnymi – jak samodzielność banku centralnego, zakaz finansowania przedsiębiorstw). Nie jest dziś w stanie zaspokoić nawet elementarnych potrzeb ogólnospołecznych. W koncepcji neoliberalnej ma się stać jedynie zarządcą polskojęzycznej prowincji.

8. Należało by teraz dodać do tego wszystkiego zagrożenia płynące ze zmian w świecie. Globalizacja w warunkach techniczno-ekonomicznej przewagi USA już spowodowała nasilenie się neoliberalnych tendencji kosztem SGR w Europie Zachodniej – ale zmienić to może jakiś poważny kryzys gospodarczy.

Trudno byłoby lepiej to przedstawić niż prof. Z. Sadowski w powołanym już odczycie w PTE w styczniu br. Uznał tam on m.in. za konieczne rozwinięcie koncepcji SGR w nowych warunkach, w kierunku powiązania ze sobą wszystkich trzech znanych dotychczas metod zapewnienia kapitalistycznemu społeczeństwu stabilności i rozwoju: interwencjonizmu państwowego, państwa opiekuńczego i społecznej gospodarki rynkowej.

* * *

Obraz dzisiejszej Polski zarysowany przez autora – być może z właściwym ludziom w jego wieku nadmiernym pesymizmem – jest niewesoły, ale nie beznadziejny. Może jednak nie zginie Polska mimo „twórczej destrukcji”, powstanie jak Feniks z popiołów, jako państwo średniej wielkości europejskiego narodu, cywilizowane, nie bogate jeszcze ale bez biedy, masowego bezrobocia i przymusowej emigracji, z dobrze działającą społeczną gospodarką rynkową może właśnie. Aby przerwać najnowsze dzieje prywaty i głupoty w Polsce wystarczyłby cud. Drugi *Cud nad Wisłą*.